

ANIOŁ STRÓŻ.

Czasopismo dla dzieci i młodzieży polskiej.

Wychodzi co tydzień.

SKRZYPKI.

Hej, skrzypeczki, skrzypeczki!

Lubię wasze piosneczki!

Dźwięki wasze tak tklive,

Że śpiewacie jak żywe.

Gdy was wezmę do ręki,

Wnet się budzą piosenki,

Ce mi matka nuciła,

Gdy mnie do snu tuliła.

Gdy wesoło mej duszy,

Gdy was radość poruszy,

Śpiew wasz taki ochoczy,

Że aż serce podskoczy.

A gdy smutek przybywa,

Łzę gra wasza dobywa,

Ale gracie tak ładnie,

Że wnet smutek opadnie.



Na kresach.

Opowiadanie z zamierchłej przeszłości.

(Ciąg dalszy.)

Nie była też to walka o zwycięstwo, lecz o życie na swojej ziemi. Śmierć nie jednego spotkała. Gnilec leżał poraniony. Chrom i Chodak skrepowani, Ziwoń, widząc wrogów zalewających zagrodę, silnem uderzeniem zrobił wyłom w ścianie chaty, przypierającej do lasu i uprowadził Krasę i Siwuchę.

Wrogi pładrowali w zagrodzie, zabierali skóry, utkane płótno i zapasy, wiążąc konie i woły.

Ziwoń starał się w jak najbezpieczniejsze miejsce uprowadzić Krasę i Siwuchę. Przedzierał się przez gąszcze, gdy wtem zacharkało wśród lasu jakimś jękiem, a nóg idącego, uczepliły się dwie silne dłonie, które mu zatamowały dalszy pochód.

— Lunk! — krzyknęła przerażona Krasa.

— Jam was bronił i umieram — rzekł kłamliwie Giermanin.

Uciekający nie mogli zdać sobie z tego sprawy.

— Tyś zdrajca! — krzyknął Ziwoń, chcąc uwolnić nogi z objęć Lunka, gdy wtem, z za krzaków, wychyliło się kilku uzbrojonych. Nie mogąc już nie znaleźć w zagrodzie, udali się w głąb lasu, by ścigać uchodzących ludzi.

W jednej więc chwili Ziwoń został skrepowany i przywiązany przy koniu. Krasa, wrzucana na koń, próżno usiłowała oswobodzić się z krepujących więzów i dłoni, które ją trzymały. Siwucha, chcąc oswobodzić Krasę, uczeploną u konia, długo się wlokła, miotając przekleństwa, aż nareszcie wśród zarośli została.

XIV.

Dodek tymczasem szedł za Wyszomirem. Wśród drogi, gdy kładł się na spoczynek, słyszał głuchy tętent; wtedy zrywał się, a nie dając strudzonym członkom wypoczynku, szedł dalej, bez wytchnienia.

Bodar, zda się, czerpał siły w niestrudzonej sile starca. Wyszomir nie miał wytkniętej drogi, parł się ku północy, miarkując, że złamał przybywał lud, co go pomorskim zwano.

Na dobre nie wiedział on nawet na co robił tę wyprawę. Chciał z Pomorczykami jako z pobratymcami być w zgodzie, ale zarazem nęciły go ich bogactwa. Owe kontyny czyli świątynie, o których oddaleni Słowianie jeszcze wtedy pojęcia nie mieli, owe bursztyny, a przede wszystkim broń żelazna, którą oni z za morza sobie przywozili, a którą czasami mieniali ze Słowianami dalszymi za skóry, wszystko to w Wyszomirze wzniecało chęć zdobyczy i zawiść.

Dumny z natury i chciwy władzy Wyszomir chciał to osiąść od razu i do swoich ziem wprowadzić. Szedł więc te skarby zdobywać. Gdy jednak z biegiem rzeki ku północy się puścili, uderzyły ich ponatykane nad brzegiem koły, jakby dla oznaczenia bezpiecznego miejsca.

— Ho, ho, nie nasze to ślady, a wroga — mówił Sroka.

— Kryć się, a uciekać do lasów — przebiegł szmer wśród idącego tłumu.

— Naprzód! — krzyczał Wyszomir.

Huk siekiery i świst jakiś doleciał ich uszu.

— Obcy naszedł nasze ziemie — wołano.

— Niedźwiedź przedziera się przez gałęzie i cielskiem swoim łomot sprawia, a wroga w nim widzicie — rzekł Wyszomir. — Zwierzom was na pożarcie, tchórze! — krzyczał dalej.

Wtem woda zapluskotała z dala, — lud z nim się zwrócił, o kilkaset kroków przed nimi przeprawiło się wplaw kilkuset jeźdźców.

Plusk się powtórzył w innej stronie, i za prowadzonym przez Wyszomira ludem znów się przeprawili jeźdźcy, a kiedy kneź namyślał się, jakby na nich uderzyć i wydał rozkazy, jeźdźcy stanęli na lądzie, otrząsając się z wody i wyciągając broń, którą ciągnęli za sobą.

Przestrzeń nie wielka, porosła z rzadka krzakami, przedzierała przybyłych od Wyszomirowej zagrody. Przybysze zrazu wzięli ich za swoich, za którymi dążyli, i germańską huknęli mową.

W odpowiedzi posypały się strzały słowiańskiego ludu.

Przybysze wtedy, rozejrzawszy się głośniejsze jeszcze rozprawiali, chroniąc się przed strzałami, a chronili się tak, jak gdyby miejsca te dobrze im były znane.

Tymczasem Wyszomir na swojej będąc ziemi, nie wiedział w którą zwrócić się stronę.

— A to psy! — rzekł dowódca tych, co później przepłynęli, wskazując na Wyszomirowych ludzi. — Myślałem, że to herceg stanął wzdłuż rzeki.

— Gdzie zaś, — kolki i ślady na piasku dają znaki, że przeszedł wprost w gąszcze — odrzekł drugi, dając powolny bieg koniowi, z którego również jak z odzienia jeźdźca skapywała woda.

— Garść tych, wlokących się nad rzeką, lupu nam nie da, do lasu pomkniemy.

Lud Wyszomira, ujrawszy z obu stron wroga, zawrzał chęcią walki. Po wyrzuceniu pierwszych strzał, część ich z Wojanem na czele, zwróciwszy się do uchodzących, wypuściła gęstsze pociski.

Koń idący na przodzie germańskiego zastępu zachwiał się wraz z jeźdźcem. Wojan przypadłszy do niego, mimo wzniesionego żelaznego miecza, rzucił z całej siły oszczepem. Koń i jeździec razem zwalili się na ziemię, znacząc ją wkoło posoką. Wojana śladem szli inni.

Wrzask, krzyk, wzajemne wymysły i jęki w jednej chwili pruły powietrze. Walka wrzała, trupy i ranni wpadali w rzekę.

Wyszomir rozwścieczony, że mu drogę przecięto, z okrzykiem: „naprzód“ wpadał na szykujących się do dalszego pochodu wrogów. Ci przygotowani do walki, nie tylko dotrzymywali placu, lecz zaczęli już brać górę. Wyszomir odważnie rzucał na wszystkie strony pociski. Strzały gęsto latały, świst ich i jęki, przerywane głuchym uderzeniem oszczepu mieszały się razem.

Wrogi brali górę. Naraz zarośla nad rzeką, od ich strony zapłonęły straszną łuną. Przestraszone ptactwo zerwało się całą chmarą z krzykiem i piskiem, a konie przeleknione stawały dęba, rzucając się w przeciwną stronę naoslep do lasu, unosząc z sobą tych, co już pewni byli zwycięstwa. Garstka tylko walczących jeszcze się pasowała. Miecz już wzniesiony miał spaść, gdy nagle strzała mała, jakby z dziecinnego łuku, utkwiała w oku walczącego. Jakby ostatnim wysiłkiem miecz jego jeszcze padł na ramię Wyszomira, odpierając cięcie.

Zachwiał się Wyszomir, lecz uchwyciwszy lewą dłoń upadający oszczep, rzucił go całą siłą na przeciwnika, który ze strzałą utkwioną w oku i cały krwią obłany nie był już zdolnym do walki. Ale Wyszomir nie mógł utrzymać się na koniu, a przytrzymując rozplątane ramię zsunął się na ziemię.

W okół niego nie było już prawie nikogo. Walczący posunęli się do lasu, wśród wrzasku i przekleństw. Z zarośla tylko, tuż przy płonącym gąszczy, wychylił się Bodar, zakładający łuk na ramię, a za nim Dodek, kierując się w stronę stoczony co tylko walki.

— Naczerpnij wody — rzekł starzec, zwracając się do pacholęcia, a sam oglądał, dotykając

jęką powalonego na ziemię Wyszomira. Chłopię w skórzaną czapkę przyniosło wkrótce wody, którą Dodek wylał na twarz rannego. Potem wyjął jakieś zioła z torby, włożył je do ust, a zmiążdżwszy bezzębnymi szczękami, pospiesznie zaklejał rozcięte ramię, którego ranę kazał ścisnąć Bodarowi palcami. W końcu starzec oddał kawał lnianej koszuli, którą miał pod skórzanym odzieniem i owinał nią ramię z taką zręcznością, jakby mu wzrok doskonale do tego przysługiwał.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



F r a n e k.

Nad oborą, zagrzebany w siano, leżał 13 letni wyrostek. Przewracał się z boku na bok, a zasnąć nie mógł. Przecież się nabięgał, zganiając krowy swoje, by która nie zginęła, lub w szkodę nie wszła. Nawet i klusek ze słonią na kolacyję jeść nie mógł. Głowa jego była napelniona myślami o dniu jutrzejszym, o dniu, którego tak dawno oczekiwał — a miała to być dlań chwila ważna i uroczysta.

Franek, sierota, wysługiwał się za łyżkę strawy i jaki taki przyrodziewek, pasąc krowy. Rodziców stracił wczesnie, nikt się o niego nie troszczył. A miał już taką czułą duszę, że z żalem patrzył, jak która matka pieściła i całowała dzieci swoje; dla czego też to on nie doznaje tego. Szukał pociechy tylko w kościele u stóp Przedwiecznego Ojca sierot wszystkich, modląc się tak jak umiał, i czuł się tam jakoś dobrze. Akurat rok temu był na kazaniu, gdzie słyszał dużo pięknych rzeczy. Dobrodziej pięknie mówił, a Franek zasłuchany, ze łzami w oczach myślał o tem. Zrozumiał on wszystko, co proboszcz opowiadał, że nauka, to jak owo światło dzienne, które blaskiem swym oświeca i ludzi, i łąki, i lasy, i pola.

Wiedział, że szczęśliwi są chłopcy ze dworu, co jeżdżą uczyć się w mieście tej mądrości, wiedział przecież, że i we wsi jest szkółka, ale on nie był tym szczęśliwym, któremu dana jest możność chociaż w zimie uczęszczać do niej. A pragnął bardzo tego światła. I on też wiedział wiele rzeczy. Pasąc krówki swoje, nauczył się

rozpoznawać trawy, zioła, kwiatki; wiedział, które z nich są trujące; znał ptaki wszystkie, rozpoznawał je nawet po locie, ale nie wiedział, jak się nazywają te czarne zygzaki, kropki i kreski, których się uczą w szkole. Nieraz z wypiekami na policzkach myślał o tych niezrozumiałych dla siebie znakach.

Znał on Wawrzonka, syna gospodarza, który w zimowe miesiące chodził do szkoły, miał elementarze i nawet wyrazy składać umiał! Ale jak go tu uprosić, aby mu pokazał ów skarb i powiedział, jak się te znaki nazywają.

Franek, jak każdy pastuch, ślicznie plótł baty, zrobił więc taki i dla Wawrzonka, a on za ten podarek nauczył go liter. Uszczęśliwiony, zaczął Franek kreślić to co umiał na piasku, a dostawszy kawał kredy, wypisał na ścianie obory. To zwróciło uwagę Jagny, córki zamożnego w tej wsi gospodarza, która, dowiedziawszy się o tej chęci Franka, dostarczyła mu elementarz, obiecując, że na Piotra i Pawła, jak się nauczy czytać, dostanie ładną książkę. Co się działo z biednym sierotą po dostąpieniu takiego szczęścia. Co tylko czasu zbywało od zajęć, czy to na łące, czy w domu — poświęcał książkę, z nią zasypiał, z nią się budził i z nią chodził paść krowy.

Oczekiwał święta Piotra i Pawła z gorączkową niecierpliwością, więc też biedaczysko ani spać, ani jeść kolacyi nie mógł w wilią podwójnie dla siebie uroczystego dnia. Nad samem ranem, zmęczony gorączką, zasnął snem mocnym. Lecz sen jego był krótki, bo go zbudzono, by wypędzić krowy na pastwisko. Wieś cała spieszy do kościoła, a on z krówkami swemi w pole. Toć to dzień świętych Apostołów, Piotra i Pawła, i jego czeka radość wielka, długo oczekiwana: dostanie jakąś książkę, w której jest dużo pięknych rzeczy. Dzisiaj krowy na łące pasą się krótko i za godzinę spędzi je do obory, a sam czekać będzie chwili, kiedy mu się Jagusia ukaże. Ludzie powracają z kościoła, aż tu podnosi się tuman kurzu i Franek widzi brykę, a w niej Jagusię. Patrzy na nią swemi niebieskimi proszącymi oczami; Jagusia go spostrzegła:

— Franek, a przychodźże prędko po swoją książkę.

Sierota nic nie słyszy i nie widzi, tylko brykę, Jagusię i jej słowa; jak psiak pędzi za końmi, wyprzedza je ścieżyną i zadyszany z wypiekami staje przed gankiem. Jest w tej chwili jak słup, stoi, czeka, a każda chwila zda mu się wiekiem. Nie słyszy kroków Jagusi, twarz jego pokrywa się to silnym rumieńcem, to znów gwałtownie blednie; nie czuje, że jego dobrodziejka z uśmiechem wtyka mu niebiesko oprawną książkę w rękę, aż nareszcie spostrzega swój skarb, podnosi oczy i wybucha płaczem, płaczem radości, dziękczynienia, na widok którego radują się anieli w niebie, że ta czysta prostaczka dusza naukę uważa sobie za największy skarb.

